

W nocy Grazii Deledy jako świadectwo drogi literackiej przyszłej noblistki

Wczesna twórczość Grazii Deledy (1871–1936), sardyńskiej nowelistki i powieściopisarki uhonorowanej w 1926 roku literacką Nagrodą Nobla, stanowi interesujące świadectwo poszukiwań literackich pisarki. Te pierwsze próby, w których Deleda porusza się między różnymi konwencjami literackimi i rozwiązaniami fabularnymi, po rozwinięciu i dopracowaniu na późniejszych etapach jej drogi stały się podstawą do utworzenia specyficznego literackiego mikrokosmosu Sardynii, który zapewnił jej sławę we Włoszech i poza nimi.

Na szczególnie charakter pierwszej fazy twórczości Deledy (rozpoczętej w wieku zaledwie 17 lat) w znacznym stopniu wpływał tryb jej edukacji kulturowej i literackiej. Przyszła pisarka ukończyła zaledwie cztery klasy szkoły powszechnej (co wynikało z ówczesnych norm wychowania dziewcząt, przygotowywanych przede wszystkim do roli strażniczek ogniska domowego, żon i matek). Trzon jej wykształcenia i obicia lekturowego stanowiły w związku z tym samodzielne lektury (do których zachęcana była między innymi przez swojego starszego brata Andreę), pochłaniane w olbrzymich ilościach, jednak bez kontekstu literackiego i kulturowego. Sprawia to, że we wczesnej twórczości pisarki (reprezentowanej między innymi przez powieści *Memorie di Fernanda* z 1888 roku czy *Stella d'Oriente* i *Fior di Sardegna* z 1891 roku) dostrzec można wpływy rozmaitych, nieraz niepasujących do siebie na pierwszy rzut oka twórców – od powieści przygodowych Eugène'a Sue i Alexandre'a Dumasa, przez pisarzy rosyjskich pokroju Iwana Turgeniewa czy Fiodora Dostojewskiego aż po Victora Hugo oraz Honoré de Balzaca.

Wpływ tych nieuporządkowanych lektur Deledy od samego początku przeplatał się jednak w jej twórczości ze szczególnym zainteresowaniem rodzinną wyspą. Fascynacja ta szybko przerodziła się w dominujący nurt jej literatury, a nawet wykroczyła poza charakter czysto literacki (czego świadectwem będzie chociażby popularyzatorski cykl artykułów *Tradizioni popolari di Nuoro in Sardegna* opublikowanych na łamach czasopisma „*Rivista delle Tradizioni Popolari Italiane*” w latach 1893–1895). Świadectwem tej przemiany jest również prezentowane niżej opowiadanie *Di notte*, które weszło w skład drugiego zbioru nowel i opowiadań pisarki, *Racconti sardi* (*Opowiadania sardyńskie*) z 1894 roku.

Opowiadanie to stanowi swego rodzaju etap pośredni między tendencjami charakterystycznymi dla wczesnej twórczości Deledy (między innymi upodobanie do mocnych efektów fabularnych) a tymi, które po rozwinięciu stanowiąc będą dominantę jej utworów

(krytyczny stosunek do tradycji sardyńskiej upostaciowionej tutaj przez prawo zemsty rodowej czy kreacje kobiet dążących do samostanowienia przynajmniej w sprawach uczuciowych). Deledda prezentuje się w nim jako pisarka skłonna do eksploracji nowych rozwiązań fabularnych i narracyjnych, których wyrazem jest na przykład próba oddania sposobu myślenia dziecka w pierwszej części tekstu czy podjęcie refleksji na temat roli wiary w konstruowaniu systemu moralnego jednostek. Sprawia to, że *W nocy*, choć nie jest najbardziej reprezentatywnym utworem dla wczesnej fazy twórczości Grazii Deledy, stanowi interesujący dokument dojrzewania twórczego pisarki.

W nocy

I

Była może jedenasta w nocy, kiedy mała Gabina zbudziła się w olbrzymim drewnianym łóżu w pokoju na górze, gdzie zawsze spała ze swą ukochaną mamą.

Ale tamtej nocy mamy przy niej nie było. Czemu jednak jej nie było? Choć Gabina szukała we wszystkich zakątkach wielkiego, drewnianego łóżka, nie mogła odnaleźć mamy. Tylko koce zimne jak wiatr, tylko poduszki z czerwonego perkalu; nic więcej!

Gdzie zatem była mama? Gabina zawsze kładła się spać i wstawała razem z nią; nigdy wcześniej nie spała sama w łóżku, nie była pozostawiona w wielkim, zimnym łóżu, w przerażających ciemnościach nocy.

Było to w rzeczy samej niezwykle zdarzenie dla dziewczynki.

– Mamo... mamo... – wołała aż do ochrypnięcia. Nikt jednak nie odpowiadał. Na zewnątrz wiał północny wiatr, a deszcz uderzał z łoskotem o szyby okienka.

W innym przypadku Gabina być może zasnęłaby z powrotem, ale te piekielne jęki, ta głęboka ciemność pustego pokoiku, w żaden sposób nie pozwalały jej uspokoić się i zasnąć.

Bąła się wszystkiego, co mogła sobie wyobrazić: śmierci, wampirów, boga wiatru, wiedźm, trolli, wszystkiego... wszystkiego...

– Mamo... mamo? – powtarzała głośno, siadając na łóżku. – Mamo, mamo?...

Siedziała tak kwadrans, krzycząc coraz głośniejsz oraz przyzwyczajając się do ciemności i wycia wiatru.

A że matka nie odpowiadała, Gabina postanowiła, że się ubierze i zejdzie do kuchni, aby jej poszukać. Wprawdzie to mama ubierała ją każdego ranka, gdyż ona sama, jako jeszcze małeńka, nie potrafiła włożyć na siebie czarnej kurteczki o wąskich rękawach, ale dziewczynkę mało to obchodziło... Na razie wystarczyło znaleźć spódniczkę. Zazwyczaj odkładała ją na krzesło u podnóża łóżka: wystarczyło więc tylko zejść, żeby ją odszukać.

Zejść?... Zejść w ciemności, bosymi stopami, wyjść z łóżka w taką noc, samej?... Do tego trzeba było wielkiej odwagi, a Gabina, trzęsąc się całą z zimna i ze strachu, długo się wahała. Ale nie mogła się zgodzić na zostanie w łóżku bez mamy! Wiatr wiał coraz głośniejsz; jeszcze chwila, a wtargnie do pokoju i urwie Gabinie głowę... Więc w drogę!

Zeszła i krzyknęła. Jej stópka napotkała na coś twardego, zimnego, bezkształtnego, co na pewno nie było podłogą z wygładzonych przez czas desek...

Czy to ropucha, czy może wampir?

– O matko... mamusi!... – wrzasnęła dziewczynka na całe gardło, bezskutecznie próbując wrócić do łóżka, ale wreszcie, zauważywszy, że wampir się nie ruszał, a mama dalej nie odpowiadała, nachyliła się i upewniła, że to tylko stary but zostawiony przypadkiem pod łóżkiem.

Jej usta rozszerzyły się w uśmiechu, a ta pierwsza przygoda napęłniła ją wielką odwagą, więc postanowiwszy, że nie przestraszy się niczego, co napotka pod stopami, opierając się o krawędź łóżka, ruszyła naprzód. Nie znalazła tam jednak krzesła ze swoimi ubraniami, więc zezłościła się i zaczęła przeklinać; gdyż musicie wiedzieć, że nie była wzorem dobrych manier i z łatwością wyliczała imiona wszystkich diabłów podsłuchane od dziadka, ciotek, a po trosze także i od mamy.

Gdzie, do diabła, były więc jej ubrania? Zabrałby je jakiś bies? Szlag by trafił noc i tego, kto ją wymyślił!...

Ale dziewczynka zapomniała na chwilę o ubraniach i znów zaczęła się trząść tak mocno, że niemal połamałaby zęby.

W chwili, kiedy wiatr i deszcz na chwilę przycichły, usłyszała dziwne hałasy dochodzące z kuchni oraz ludzkie głosy, które brzmiały groźniej i straszniej niż burza.

Co się działo w kuchni? Boże, mój Boże, a mama? Byliby to złodzieje czy diabły? A przecież dziadek i wujkowie¹ od trzech dni przebywali poza domem i brakowało kogoś, kto mógłby ochronić mamę, biedną mamusię!... Ciekawość mieszała się ze strachem i Gabina znów zaczęła szukać spódniczki, wpadając na krzesła i na wszystkie ubogie meble znajdujące się w ciemnym pokoju. Wreszcie znalazła ją i z trudem założyła, lecz kiedy wydawało się, że wszystko już gotowe, inna przeszkoda stanęła na drodze dziewczynki.

Drzwi prowadzące na schody były zamknięte na klucz od zewnątrz i mimo wielkich wysiłków nie mogła ich otworzyć, a mama wciąż przeraźliwie milczała, kiedy dziewczynka znów zaczęła ją wołać, z łoskotem szarpiąc drzwi.

Wróciła do łóżka, zrozpaczona, a ukrywszy twarz w zagłębieniach pościeli, rozplakała się; nagle jednak przypomniała sobie, że w pokoju obok był kamienny balkon, z którego schodziło się przez zewnętrzną klatkę schodową na podwórze, stamtąd zaś można było otworzyć stare drzwi do kuchni.

Wiatr i deszcz nie ustępowały, lecz Gabina była gotowa na wszystko: weszła do pokoju obok, otworzyła drzwi na balkon i walcząc z wodą lejącą się wściekle z niskiego nieba ołowianego koloru i z szalejącym, zimnym, nocnym wiatrem, zeszła na dół.

¹ Zgodnie z sardyńską tradycją w twórczości Deleddy słowo zio (o słownikowym znaczeniu wujek) jest często stosowane w charakterze określenia grzecznościowego, używanego wobec starszych i poważanych członków lokalnej społeczności (niekoniecznie spokrewnionych z osobą, która się w ten sposób do nich zwraca). W niniejszym opowiadaniu Deledda używa jednak słowa zio zarówno w znaczeniu słownikowym (kiedy mówi o trzech braciach matki Gabiny, będących tym samym wujkami dziewczynki), jak i w jego wariacie sardyńskim (kiedy w końcowych partiach opowiadania pojawia się zio *Tottoi*, czyli dziadek Gabiny oraz ojciec jej matki i wujków). Aby zachować tę dwuznaczność słowa zio, a jednocześnie nie wprowadzać polskiego czytelnika w błąd, zastosowano określenie wujek w celu oddania słownikowego znaczenia słowa zio, a wuj – w drugim, lokalnym rozumieniu (przyp. tłum).

Drżała jak liść, ale zupełnie zapomniała o zjawach i wampirach. Nieprzewyciężona udręka ścisnęła jej serduszko, a straszliwe przeczucie, zbyt poważne jak na jej wiek, mówiło jej, że tam w kuchni musiało się coś dziać. Ach, a te głosy, które słyszała!...

Po chwili znalazła się przy schodach, naprzeciwko drzwi do kuchni, osłonięta przed deszczem. Te również były zamknięte, ale Gabina nie próbowała otwierać ich na siłę, chociaż przez wielką szczelinę przecinającą drzwi od góry do dołu widziała poświatę jarzącego się w kominku ognia.

Położyła się na ziemi i przyłożyła oko do szczeliny.

Już się nie bała, ale nie chciała też wchodzić do kuchni, gdyż mama na pewno by ją za to zbiła.

Dziadek i wujkowie – trzech wysocy, silni, opaleni mężczyźni, których znoszone i brudne ubrania były świadectwem nędznego życia wypełnionego nieustanną, męczącą pracą, a z których ciemnych, dużych oczu dało się odtworzyć smutną historię prostych ludzi przygniecionych biedą oraz targanych wirem mrocznych, gwałtownych i bolesnych namiętności – wrócili do domu i siedzieli teraz dookoła kominka.

Mama Gabiny, Simona, młoda kobieta o niezwyklej, orientalnej urodzie właściwej dla wielu sardyńskich kobiet, przywołującej na myśl Saracenów władających wyspą i rozgrabiających ją w IX i X wieku, siedziała boso na ziemi, nieco w cieniu, z rękami skrzyżowanymi na kolanach, a długie rękawy koszuli w orientalnym stylu ściśnięte były na nadgarstkach i marszczyły się na kształtnych ramionach.

Gabina nigdy nie widziała swej mamy tak bladej i ponurej, choć jej oblicze zazwyczaj było blade i przepełnione smutkiem; nigdy też nie widziała w jej czarnych oczach takiego niezwyklego blasku.

Pod opadającą na czoło czarną chustą oblicze Simony nabierało trupiego odcienia, jej delikatne i nieruchome rysy twarzy sprawiały wrażenie głębokiej, przerażającej powagi, a oczy rozświeślała nienawiść i rozpacz.

Ale tym, co najbardziej przyciągało uwagę Gabiny i powstrzymywało ją przed wejściem do środka był widok nieznanego siedzącego przy kominku. Przywiązany był mocno liną z włosia do starego, topornego krzesła, jedynej ozdoby kuchni, które zawsze stało w kącie nieruszane przez nikogo, a na które teraz Simona raz za razem spoglądała ponurym wzrokiem.

Gabina nie знаła twarzy ubranego w miejscowy strój obcego, więc przyglądała mu się z ciekawością, pytając samą siebie, kto to mógł być i czemu miałby siedzieć tutaj, związany, w tę ciemną noc.

Był przystojnym mężczyzną koło czterdziestki, zrudziałe blond włosy falowały nad szerokim, opalonym czołem. Jego szare oczy patrzyły ostrym wzrokiem, a gęsta ruda broda opadała mu na pierś. Straszliwy grymas wykrzywił całą jego twarz, a w błyszczących kroplach potu na jego czole odbijał się blask ognia, lecz nie był tak blady jak reszta, a zwłaszcza Simona.

Oczywiście Gabina nie dostrzegała wszystkich tych detali, ale rozumiała doskonale, że tam, w środku, w ciemnej kuchni rozświetlonej ogniem i stojącą na piecu, świecącą

na cztery strony, przygasającą już lampą ze szerniałej od dymu blachy, dzieje się coś niezwykłego, nadzwyczajnego; a niezdolna do znalezienia jakiegokolwiek wyjaśnienia, stała cicho, nieruchomo za drzwiami, oparta czołem o szczelinę. Szare oczka – podobne nieco do oczu mężczyzny przywiązanego do krzesła – miała szeroko i zachłannie otwarte.

Dziewczynka znów zaczęła się trząść – rozproszyła się cała ciekawość, a rozpaczliwy strach znów, jak wprzód, ogarnął jej serce – i pytała samą siebie, czy to wszystko to jakiś zły sen?

Lodowate powiewy wiatru ogarniały jej niezbyt dobrze zakryte ramiona; jej stopy, ręce, cała maleńka istotka pokryta się już śniegiem, a woda wdzierająca się na dziedziniec sięgała coraz wyżej i wyżej, podsycana jeszcze ostrym deszczem. Jeszcze chwila i Gabina musiałaby uciec lub otworzyć drzwi, ale zupełnie na to nie zważała. Bardziej niż zimno wstrząsała nią chęć płaczu, lecz mimo to nie ruszała się... Gula urosła jej w gardle i raz za razem suchy, spazmatyczny szloch wykrzywał jej zsiniałe z zimna i strachu wargi.

Albowiem to, co widziała i słyszała, było tak okropne, że przeraziłoby każdego, tym bardziej tę wątłą duszyczkę, która liczyła sobie zaledwie dziewięć lat...

II

– Eliasie, Eliasie! – krzyczał ojciec Simony. – Wołanie o pomoc nic ci nie da. Nikt nie przyjdzie, a wiatr zagłuszy twoje krzyki. Nikt nie przyjdzie! Musisz zginąć tutaj, przywiązany do krzesła, na którym dziesięć lat temu siadywałeś każdej nocy; pamiętasz, nędzniku? Każdej nocy... jak na uczciwego i porządnego narzeczonego przystało!... Przywiązany do krzesła, które pieczołowicie przechowywaliśmy przez dziesięć lat... które na ciebie czekało... i które wrzucimy w ogień podłany twoją tchórzowską krwią...

– Broń się! – rzekła ponuro Simona. – Jeśli nie dasz nam choćby jednego wyjaśnienia, chociaż jednego, dla twojego tchórzliwego postępu, twoja śmierć będzie straszna! Broń się! Przepraszam, a skończy się na jednym strzale. A jeśli nie, biada ci!...

– I ty to mówisz?... – odpowiedział Elias. – Ty, kobieta, która zdawała mi się wcieleniem dobroci? Ty?

– Nienawidzę cię! Zhańbiłeś mnie; byłeś moim narzeczoną, moim życiem, a zdradziłeś mnie, porzuciłeś! Ból zniszczył we mnie wszystkie ludzkie sentymenty: nienawidzę cię i od dziesięciu lat śnię tylko o zemście. I co znaczy, tchórze, cała twoja męka, o której teraz mówisz, wobec tego, co wycierpiałam? Tak właśnie wygląda nienawiść i to ja nakłoniłam moich krewnych do tej zemsty...

– No to mnie zabijcie!... – mruknął Elias. – Ale pomyślcie o waszym sumieniu... o Bogu...

– Sami sobie jesteście sumieniem i Bogiem! – z okrutnym i dzikim śmiechem, odstawiając dwa rzędy białych, mocnych, zwierzęcych zębów, błyszczących się od ognia, krzyknął Tanu, jeden z braci.

– Sumieniem i Bogiem!... – syknęła Simona niczym żmija. – A ty masz sumienie, ty pomyślałeś o Bogu?...

Elias schylił głowę.

– W imię naszej córki... – rzekł.

– Więc wiesz, że mam córkę?...

– Tak, wiem. Jeśli chcesz, uznam jej ojcostwo. Zabiorę ją i pewnego dnia stanie się zamożna, bo sam się wzbogaciłem, a z tamtą nie mam dzieci...

– O czym ty mówisz! – krzyknął Pietro, drugi z braci. – Jeszcze nie zrozumiałeś, że nie wyjdiesz stąd ani żywy, ani martwy?... – I uniósłszy powoli lufę trzymanego na kolanach pistoletu, powiedział powoli i okrutnie: – Rozszarpię cię, ja, który byłem ci przyjacielem i zaprosiłem cię do naszego domu, gdzie zostawiłeś po sobie nieszczęście i hańbę. Zabiję cię i powalę na ziemię, ty żałosny, nędzny wężu! Ach, co ty sobie myślałeś? Co myślałeś? Nasza rodzina zawsze mściła się za doznane krzywdy, a dzisiaj my, którzyśmy cię szukali przez dziesięć lat po wszystkich wioskach Barbagii, wśród ośnieżonych gór i stromych wąwozów, zmyjemy twoją krew płamę na naszym nazwisku.

– Simona, Simona!... – szepnął przerażony Elias, zwracając w jej stronę błagalne spojrzenie. – Nasza córka...

– Milcz, nie wymawiaj jej imienia! Ona jest kwiatem zrodzonym z grzechu, ale jest czysta jak śniegi gór Gennargentu²! Znieważasz ją, kiedy o niej wspominasz, bo jesteś tchórzem, nikczemnikiem! Jesteś dla niej nikim... Bóg jest jej ojcem!...

– Ty jej nie kochasz, Simono! Jeśli ją kochasz, pozwól mi żyć!...

Błyskawica rozbłysła w zamglonych oczach kobiety.

– Ubóstwiam moją córkę i żyję tylko dla niej. Gdyby zniknęła z mego życia, wszystko by się we mnie rozpadło i stałabym się najniezwyklejszą kobietą na świecie. „Jeśli ją Kocham!”. Moją córkę! Moją biedną córeczkę! Kocham ją ponad wszystko, jest całym moim szczęściem! Ale powtarzam ci – nie waż się o niej wspominać. Pamięć o niej wzbudza we mnie żal zagasły we mnie po tym wszystkim, co się stało, a jednocześnie podsyca moją nienawiść i pragnienie zemsty. I nie mogę się doczekać chwili, kiedy będę wiedziała, że spoczywasz pod ziemią, abym, gdy mnie spyta, gdzie jest jej ojciec, mogła jej odpowiedzieć, nawet się nie rumieniąc: „Nie żyje!”.

– Zatem postanowione! – krzyknął Elias. – Więc mnie zabijcie! Patrzcie, jestem gotów! Wiem, że zginę nie dlatego, że jestem tchórzem, jak się wam wydaje, bo jeśli zbłądziłem, to nie z własnej winy, ale przez przypadek i z woli Bożej! Zabijcie mnie!... Zabijcie!... – wykrzyknął ponad ponurym gwizdem wiatru.

Pięcioro bohaterów smutnej wiejskiej tragedii milczało przez chwilę. Przeróżliwy spokój odznaczył się na ich twarzach, a ogień wciąż oświeślał ich krwawym blaskiem i grobowym światłocieniem; była to scena godna pędzla samego Caravaggia.

– W takim razie powiedz, dlaczego mnie zdradziłeś, bez słowa wyjaśnienia, po dwóch latach płomiennej miłości! – rzekła wreszcie Simona, obstając twardo przy swoim. – Być może pamiętasz, że planowaliśmy się szybko pobrać, bo miałam zostać matką. Wyjechałeś konno zaopatrzonej w kasztany, ser i drewniane narzędzia, które sprzedałeś w Nuoro, żeby mi kupić pierścionek zaręczynowy i jakieś błyskotki... Miałeś wrócić

² Gennargentu – łańcuch górski znajdujący się w centralnej części Sardynii (przyp. tłum.).

po czterech czy pięciu dniach, a zostawiłeś mnie niemal we łzach... Minęło dziesięć lat, dziesięć lat bólu, płaczu i nienawiści, ale zdaje mi się, jakby to było wczoraj... Nie wróciłeś, a po miesiącu dowiedziałam się, że się ożeniłeś z jakąś dziewczyną z Fonni!... Mów! Jeśli masz jakąś wymówkę, to powtarzam ci, zabijemy cię jednym strzałem, a jeśli nie, to wzywam na świadka pana Jezusa i ciebie tutaj związanego, że rozszarpiemy cię żywcem!

Ton głosu Simony był tak twardy, że dreszcz grozy przeszedł całe ciało Eliasa. Ukrywając to jednak, odpowiedział chłodno:

– Nie boję się ani ognia, ani kul, ale powiem wam, co się stało. Nie była to moja wina, mówię wam, ale wola Boża! Słuchajcie!...

I zaczął opowiadać:

– Tak, to już dziesięć lat, a zdaje się, jakby to było wczoraj! Wyjechałem, myśląc o tobie i planując nasze wspólne życie... Lecz Bóg chciał inaczej! Po dwóch godzinach miałem dojechać do Fonni, gdzie miałem zamiar spędzić noc, a następnego dnia ruszyć do Nuoro, jednak zaczął padać śnieg. Nie przejmowałem się tym zbytnio, przygotowany, jak zawsze, na niepogodę i zmierzałem dalej stromą ścieżką, przecinałem wąwozy górskie, szedłem pieszo, ciągnąc za sobą objuczonego konia. Tak szedłem i szedłem. Wiatr ciskał mi śnieg w twarz, wciskał mi go do ubrań, rąk, omiatał nim rzęsy i usta. Szybko cały płaszcz pokrył się białą warstwą, tak jak sakwy, zad kasztana i wszystko, absolutnie wszystko...

Droga zniknęła pod śniegiem, ale że uważałem się za doświadczonego wędrowca, szedłem dalej, nie zamartwiając się, ze wzrokiem wpatrzonym w horyzont, na którym raz za razem zdawało mi się, że dostrzegam zarys Fonni. Wiatr wył wściekle pośród gór i zbliżała się noc, a śnieg wciąż padał... Ciągle sypał, piętrząc się przed moimi stopami, i żywa dusza nie zakłócała dzięki pustki gór. Tylko ja, tracący powoli ducha, przemoczony aż do suchej nitki i uważający się już za zgubionego, gdyż nie widziałem przed sobą wioski, oraz biedny koń, który cały się trząsł i nie był w stanie iść dalej. Śnieg padał coraz mocniej, każdy krok zdawał się trwać kwadrans, a ciemność z każdą godziną gęstniała coraz bardziej. Żałowałem, że nie zatrzymałem się w owczarni, którą minąłem pół godziny wcześniej, kiedy śnieg zaczynał padać, i gdzie pewien pasterz zaproponował mi nocleg w obliczu nadchodzącej burzy; i nagle, zupełnie zrozpaczony, postanowiłem zawrócić. Chciałem pojechać konno, gdyż nie mogłem już iść piechotą, ale zwierzę było bardziej wyczerpane ode mnie na skutek przeciążenia. Zdjąłem z niego cały ładunek, który zakopałem pod drzewem najdokładniej, jak umiałem, z zamiarem powrotu następnego dnia, po czym dosiadłem konia i ruszyłem w drogę!

„Naprzód!” – przemawiałem z uczuciem do biednego konika. – „W nocy sobie odpoczniemy, a jutro zaświeci słońce i pozwoli nam wrócić. Weźmiemy z powrotem nasz towar i pojedziemy do Fonni. A tam już nie będzie się czego bać! Naprzód, wio!...”

Przez chwilę koń jakby podzielał mój zamiar i szedł, ale w pewnym momencie zwolnił kroku, po czym stanął w miejscu. Na próżno go popędzałem, głaskałem, biłem:

nie chciał sam jechać, a ja musiałem z niego zejść i iść piechotą, ciągnąc biedne zwierzę za sobą.

Och, co za okropna noc! – Wiatr ustał, ale w górach panowała gęsta i pusta ciemność, a śnieg wciąż padał i padał. Delikatne, białe światło odbijające się od śnieżnego płaszcza pokrywającego klify sprawiało, że prawie wpadłem w jakąś przepaść – jednak, krok za krokiem, moje oczy pokrywały się mgłą, nogi w przemoczonych spodniach drętwiały, a całe ciało stawało się zimne i bezwładne jak śnieg, w którym tonęłem. Raz znalazłem się z koniem w rowie: ledwo się wydostałem, lecz zwierzak już nie był w stanie, ja zaś nie pomyślałem o tym, by mu pomóc.

Szedłem dalej: byłem cały w śniegu: łyż jak grochy pojawiały mi się w oczach i opadały, mieszając się ze śniegiem bielącym moją brodę: zdrętwiałe i zlodowaciałe ręce trzymałem pod zimnym i ciężkim płaszczem, a stopy automatycznie stawiały krok za krokiem, od czasu do czasu potykając się o siebie. Ani jedno światło nie rozświetliło nocy, ani jeden głos ludzki nie rozproszył przeraźliwej górskiej samotności.

Po lewej i po prawej stronie wznosiły się białe szczyty, niknące wśród popielatego nieba; za mną nie było widać nic prócz śniegu, który opadał powoli nad horyzontu i który prędko ogarnąłby mnie całego; przede mną rozciągało się zbocze najeżone wąwzami i przepaściami. Na pewno nie była to ta sama droga, którą szedłem parę godzin wcześniej, o nie, a nie mogłem dojrzeć przed sobą owczarni, bo się zgubiłem! Och, czemu nie poszedłem dalej w stronę Fonni? A może nie byłem wcale tak daleko od miejsca, w którym zostawiłem ładunek... a może... może...

Siły mnie opuszczały; po półgodzinnej, wyczerpującej i bezowocnej wędrówce gryzłca, gęsta, czarna mgła ogarnęła mnie i otoczyła, a ja dalej schodziłem, gubiąc sprzed oczu ostatni promyk światła. Jeszcze krok, a zapadłbym się w tę otchłań; lecz nie byłem w stanie iść dalej, gdyż śnieg sięgał mi do kolan, a raz zatopiwszy w nim stopy, ledwo byłem w stanie je wyciągnąć...

Byłem przemoczony aż do szpiku kości; nic już nie widziałem, a mój mózg, tak jak oczy, zatonął cały we mgle! Padłem prosto w śnieg i powierzyłem swego ducha Bogu, ostatnią myśl poświęcając Simonowi...

III

Elias milczał chwilę, jak gdyby jeszcze tkwił myślami we wspomnieniu tamtej smutnej nocy lub jakby porównywał ją do następnej, jeszcze smutniejszej.

– Mów dalej! – rzekła Simona. Jej ton nie był już tak ostry, oczy wbiły się w ziemię, a groźna mina niepostrzeżenie zniknęła. Elias zauważył to i wstrząsnął nim dreszcz nadziei, po czym kontynuował:

– Kiedy odzyskałem przytomność, był już środek dnia. Leżałem w ciepłym łóżku na tyłach olbrzymiej kuchni, a na jej środku, w kamiennym piecu, płonął potężny ogień, którego ciepło docierało aż do mnie. Po mnogości naczyń i sprzętów znajdujących się w pomieszczeniu stwierdziłem, że musiałem być w domu ludzi zamożnych; jakaś dziewczyna przygotowywała obiad przy piecu, a z jej stroju wywnioskowałem, że prawdopodobnie pochodziła

z Fonni. Więc byłem w Fonni!... Kto mnie tam zaniósł? Kto mnie uratował?... Jaka różnica między tym, co przeżywałem dziesięć godzin wcześniej, a chwilą obecną! Między łożem ze śniegu, pod ciemnym niebem i mgłą, ze śmiercią za rogiem a ciepłym łożem, w którym się obudziłem i piękną dziewczyną obok, czekającą może na mój powrót do świata żywych!...

Tak, była doprawdy piękną dziewczyną! Kiedy mnie zauważyła i zbliżyła się do mnie, przyglądałem się jej oczarowany, pytając samego siebie, czy nie była tylko złudzeniem. Nie widziałem nigdy tak pięknej kobiety; może tylko naszą Matkę Boską Mleczną w trakcie odpustu.

Takie same duże czarne oczy, takie same włosy, taka sama różowa skóra, identyczne małe usta, kształtny nos, biała długa szyja, wreszcie cała jej postać...

Miała na sobie prostą spódnicę, która podkreślała jej zgrabne biodra i odstaniała małe stopy odziane w buty z kokardkami, kamizelkę z czarnego materiału oraz krótki rozpięty gorset zawiązany na bielutkiej koszuli, pod której fałdami odznaczały się zaledwie pączki piersi, bo dziewczyna mogła mieć nie więcej niż osiemnaście lat.

Opisuję wszystkie te detale – mówił dalej Elias, podczas gdy oczy Simony z powrotem nabrały surowego blasku, gdyż rozpoznała w dziewczynie z Fonni kobietę, która odebrała jej całe życiowe szczęście – tylko po to, by jakoś wyjaśnić główne przyczyny mego wiarołomstwa.

Przyglądałem się jej więc oczarowany, a kiedy ona okryła mi kołdrą ramiona, przeszły mnie całego dreszcze. Niestety, przynaję, zapomniałem w tamtej chwili o nocnej burzy, o martwym koniu leżącym w śniegu, zostawionych kasztanach i przyczynach, dla których leżałem teraz w łóżku...

„Jak się czujesz?” – spytała dziewczyna, biorąc mój nadgarstek w swe ręce. – „Macjyzysz tak już pięć godzin!... Jak się nazywasz?”.

„A ty?” – zapytałem ochryłym głosem. – „Gdzie jestem?”.

„W moim domu! Jestem Cosema P.... Dziś w nocy mój służący, kiedy szedł przez góry, znalazł cię w śniegu prawie umierającego. Wziął cię na swego konia i przywiózł tutaj. Wiesz, jesteś w Fonni! Po wielu staraniach polepszyło ci się dziś rano, koło piątej, ale zaraz wróciła gorączka i majaki, więc nie mogłam się nawet dowiedzieć, kim możesz być. Po ubraniach poznaję, że jesteś z A..., ale nie wiem, kto ty!”.

Opowiedziałem jej swoją historię, nie pomijając przyczyn mojej wyprawy i planowanego wesela z Simoną.

„Musisz być naprawdę biedny, skoro żeby kupić obrączki, musiałeś wybrać się w taką podróż!...” – powiedziała Cosema, wpatrując się we mnie swoimi wielkimi, czarnymi, błyszczącymi oczyma.

„Nie” – odpowiedziałem – „nie jestem bardzo biedny! Mam własną plantację kasztanów, na której zarabiam dwadzieścia skudów³ każdej zimy i posiadam ręce gotowe do pracy! Ale co jakiś czas muszę przyjeżdżać do Nuoro, aby sprzedać swoje plony.

³ Skud – dawna złota lub srebrna moneta włoska o wartości 1/20 lira (przyp. tłum.).

Mam też wóz, woły, konia i dom... nie jestem biedny, nie. Simona też mi coś wniesie w posagu...”.

Rozmawialiśmy tak dobrą godzinę, w pełnym zaufaniu, niemal jakbyśmy się znali od bardzo dawna; a Cosema wyznała mi, że jest bogatą sierotą. Sama zarządzała swymi włościami po tym, jak kilka miesięcy wcześniej zmarł jej opiekun; trzymała też dziewczkę służebną i dwóch służących, z których jeden był rolnikiem, a drugi, ten, który mnie uratował, pasterzem. Miała dom, duży ogród warzywny, pastwisko dla owiec⁴ i wiele zwierząt.

Kiedy chciałem wstać, nie pozwoliła mi, mówiąc, że jestem chory, a wezwany do mnie w nocy lekarz zabronił mi nie tylko wyjechać, lecz także nawet wstać. No to zostałem! Peppa, służąca, zawołana podała mi miskę rosołu i powtórzyła to, co powiedziała wcześniej jej pani, włącznie ze słowami doktora.

Rzeczywiście gorączka i dreszcze szybko powróciły; wysoka temperatura sprawiała, że rzucałem się po łóżku, ogarnięty wstrząsami, w wirze szalu i oszołomienia. Przebyłem tydzień w zawieszeniu między życiem a śmiercią. W chwilach powrotu świadomości błagałem Cosemę, aby wysłała wiadomość do Simony o moim stanie, żeby nie martwiła się moim spóźnieniem, a dziewczyna zawsze obiecywała, że to robi, przywracając mi spokój. W tamtych godzinach dreszczy i udręki wspominałem nieustannie Simonę, ale przed moimi oczami i targanymi gorączką myślami była Cosema, piękna Cosema krzątająca się po kuchni na paluszkach, żeby mnie nie budzić, pochylona często nad moim łóżkiem, przykładająca do mego czoła białą i młodą dłoń, czuwająca całymi nocami nad moim łóżem boleści, czarująca mnie swymi oczami niewinnego dziecka, które czyniły ją jeszcze bardziej niebezpieczną.

Cała ta opieka, uwaga, którą mi poświęcała, mimo że prawie mnie nie знаła, budziła we mnie głęboką wdzięczność i sprawiała, że ze złością myślałem o dziwnej obojętności Simony, mojej narzeczonej, która nie dawała znaku życia, podczas gdy ja umierałem daleko od rodzinnych stron, z jej powodu i z myślą o niej! Prawda, że inni moi krewni też się nie odzywali... Ale o nich nie dbałem, o nich nie myślałem...

Po tygodniu poczułem się lepiej, a lekarz stwierdził, że za osiem czy dziewięć dni będę mógł wrócić do wioski. Z bólem myślałem o tragicznym rezultacie podróży i opóźnieniu naszego wesela; nie udało się odnaleźć mojego konia i kasztanów, mimo że Cosema wysłała swojego służącego na poszukiwania. Była burzowa noc, taka sama jak tamta, podczas której zabłądziłem, kiedy usłyszałem, jak drzwi do kuchni otworzyły się lekko i wszedł ktoś, kogo początkowo nie poznałem.

To chyba było o północy. Wiatr wył nad moim łóżkiem i zagłuszał wszelkie odgłosy ludzkie. W pełnym popiołu kominku ogień mrugał raz za razem niebieskawymi płomykami, niemrawo rozświetlającymi kuchnię. W tym delikatnym migotaniu wydawało mi się, że poznaję we wchodzącej osobie Peppę i uznałem, że przyszła, żeby sprawdzić, czy czuję się dobrze i czy już śpię. Udawałem, że zasnąłem, ale oczy miałem półotwarte.

⁴ Użyte przez Deleddę określenie *tanca* oznacza powszechne na Sardynii działki, zwykle ogrodzone kamiennym ogrodzeniem lub żywopłotem, przeznaczone do wypasu owiec i pełniące funkcję miejsca zamieszkania pasterzy. Oznaczałoby to, że posiadająca własną *tanca* Cosema była w rzeczy samej znacznie bogatsza od Eliasa (przyp. tłum.).

Dziewczyna podeszła na paluszkach do łóżka i przystanęła, długo mi się przygląda-
jąc, z błyszczącymi w ciemności oczyma. Mimowolnie przebiegł mnie całego dreszcz...

To nie była Peppa, o nie, tylko Cosema...

Czego właściwie chciała? Czemu mi się tak przyglądała? Czemu pod wpływem jej
wzroku cały się trząsnęłam?

Nagle schyliła się ku mnie i mnie pocałowała!...

Jej usta płonęły jak rozżarzone węgle, a ja wzdrygnąłem się jakby pod wpływem
ostrej gorączki. Cosema cofnęła się powoli i usiadła przy kominku, gdyż uznała, że się
obudziłem. Ja jednak nie ruszałem się i dalej udawałem, że śpię. Uspokojona, Cosema
rozpalila ogień i schowała głowę w ramionach, kuląc się w sobie do kolan. Zdawało mi
się, że płakała... Nie umiałbym opisać, co się we mnie działo, ale na pewno zapomnia-
łem o koniu, kasztanach i ślubie. Pocałunek Cosemy palił mi twarz i tysiące burzliwych
myśli kłębiło mi się w głowie.

Czyżby miało to być sen? Co to miało znaczyć? Że Cosema, taka piękna, młoda
i bogata przez tych kilka dni zakochała się we mnie? W nieznanym, przybyszu, narze-
czonym innej kobiecie?...

Nie mogłem dać wiary zmysłom, a jednak widziałem piękną dziewczynę w półcieniu,
cicho płaczącą, a mózg mi się plątał i krew instynktownie się we mnie burzyła. Boże, mój
Boże, co za pokusa! Gdyby Cosema znowu mnie pocałowała, byłbym zgubiony mimo
wszystkich moich planów.

Lecz ona wycofała się i nawet na mnie nie spojrzała.

Następnego ranka ujrzałem, że jest blada i ma czerwone oczy, ale nic na to nie
powiedziałem. Kiedy tylko wyszła, ubrałem się i usiadłem koło kominka, a gdy wróciła,
oznajmiłem, że chcę wyjechać.

„Masz rację” – odrzekła chłodno. – „Bardzo źle się z tobą obchodziliśmy i na pewno
nie możesz się doczekać, aż stąd odjedziesz”.

„Broń Boże!” – krzyknąłem. – „W zasadzie nie zasłużyłem sobie na tak dobre trak-
towanie z pani strony! Ocaliłaś mi, pani, życie i zawsze będę o tym pamiętał. Chcę
wyjechać, żeby nie być już dłużej ciężarem. Ach, Cosemo, coś ty takiego powiedziała!
Masz mnie za zwierza? Nie wiem, co miałbym zrobić, żeby się odplacić za to, co ci za-
wdzięczam. Mów; proś mnie, o co chcesz, a zrobię dla ciebie wszystko...”.

Nie zdążyłem dokończyć tych słów, a już zacząłem ich żałować, gdyż dostrzegłem,
że oczy Cosemy błyszczą radośnie. Ach, a jeśli poprosi mnie o coś niewykonalnego...
O to, żebym ją pokochał...

„Zostań więc, dopóki w pełni nie wyzdrowiejesz!” – odpowiedziała. Zostałem. Tym
bardziej że nie czułem się na siłach, by ruszyć w drogę, gdyż byłem zbyt słaby, a pogoda
wciąż się nie poprawiała. Ale nie czułem się spokojny i przecucie mówiło mi, że w koń-
cu ulegnę tajemniczym załotom Cosemy. Walczyłem z całym sobą, jednak obraz pięknej
dziewczyny, tak realny, narzucał się mym myślom, a wspomnienie jej pocałunku wprawia-
ło mnie w silniejsze drżenie niż gorączka.

Na próżno myślałem gorąco o Simonie, o jej odmiennym stanie, o moich świętych przysięgach: choć wola była we mnie silna, tuż obok fascynująca, piękna Cosema czarowała mnie swym uśmiechem, wpatrzonym we mnie wzrokiem, którym przekazywała mi to wszystko, czego nie odważyłaby się wypowiedzieć na głos. Boże! Co za ataki, co za pokusy, co za wojna! Płakałem jak dziecko, a kilka razy, późną nocą, podczas szalejącej burzy, chciałem uciec z tego piekła, mówiąc sobie, że lepiej umrzeć w górach, niż tak żyć. Po co mnie odratowano? Dlaczego?...

Wewnętrzny ból zwiększał moje cierpienia; krew i mózg we mnie wrzały i zdawało mi się, że nienawidzę Cosemy, której tak wiele zawdzięczałem, Cosemy, która co noc przychodziła, aby obdarzyć mnie pocałunkiem w ciemności. Nie mogło to tak dalej trwać. Skończyło się na tym, że uwierzyłem, że to wszystko było jedynie snem, diabelskim dziełem, i trwałem przy tej myśli, wierząc, że ją zaakceptuję. Nie powinienem był tego czynić!...

Pewnej nocy, kiedy Cosema mnie pocałowała, chwyciłem ją za rękę i wpatrywałem się w nią szeroko otwartymi oczyma w bladym świetle ognia. Nic nie mówiła, ale cała się trzęsła i czekała, aż się odezwę.

„Cosemo... Co to ma znaczyć?” – spytałem surowo.

Upadła na kolana i ukryła twarz w dłoniach, szepcząc: „Przebac mi!... Kocham cię do szaleństwa!...”.

Ja również zadrżałem; jednak próbowałem być silny, więc krzyknąłem:

„Co powiedziałaś? To ty nie wiesz, że jestem żonaty?...”.

„Nieprawda!... Wiem wszystko... Wiem, że jesteś zaręczony i że Simona spodziewa się dziecka... Ale wiem też, że wszyscy w wiosce mówią, że nie tylko ty możesz być ojcem...”.

„Cosema!” – krzyknąłem, wychodząc z siebie. – „Nie oczerniaj nikogo! Mów, że mnie kochasz, że mnie pragniesz... Ale nie kłam...”.

„Mówię to, co zrozumiałam. Tylko nie krzycz tak! Bo się Peppa obudzi i dowie o wszystkim... Nie odrzucaj mnie, bo cię kocham!”.

Tak błagała, że zniżając głos, zażądałem od niej wyjaśnienia tych okropnych słów. A ona opowiedziała mi mnóstwo historii, których nie pamiętam dobrze, których nie słyszałem dokładnie, ale z których wynikało dla mnie jedno. Że byłem po kryjomu wplątywany w niestawę i że Simona mnie nie kochała, ale tylko udawała uczucie, aby zmyć hańbę, której nie byłem jedynym sprawcą... Och, co za horror, co za horror!

– Och, ty nieszczęśniku!... – krzyknęła Simona, przerywając opowieść Eliasza, zsiniała na twarzy, z trzęsącymi się ramionami. Ale Tanu, jej brat, który miał inne zdanie, słuchał Eliasza z cierpkim śmiechem niedowierzania, a będąc pewnym, że cała ta opowieść była tylko bajką, z trudem uspokoił siostrę i rzekł kpiąco:

– Mów dalej i się streszczaj...

– Będę się streszczał. Cosema obiecała dostarczyć mi dowodów, ale potem zaczęła zniecierpliwiona rozpaczliwie płakać i szlochać.

„No dobrze” – stwierdziłem zaskoczony – „a teraz czemu płaczesz?...”.

W rzeczywistości ja też nie mogłem się powstrzymać przed płaczem, a gula zacisnęła mi się w gardle. Jednocześnie wierzyłem i nie wierzyłem w to, co Cosema mi mówiła i kiedy czułem gwałtowną ochotę, by ją spoliczkować, jednocześnie marzyłem, by ją pocałować i powiedzieć: „Kocham cię i gardzę Simoną!”.

„Przebac mi... przebac...” – powtarzała łamiącym się od płaczu głosem. – „Wiem, że nie możesz mnie pokochać, że wolisz tamtą... Wybacz, że nie potrafiłam się oprzeć... Ale kocham cię... do szaleństwa... Jeśli nie będziesz miał nade mną litości, może się stać coś strasznego...”.

„Cosemo, Cosemo” – mówiłem – „jakim cudem możesz tak za mną szaleć? Jestem biedny, a twoja rodzina, nawet gdybym cię pokochał, nie zaakceptowałaby nas”.

„Nie mam rodziny! Sama jestem sobie panią i robię to, co mi się podoba. Ale ty nie możesz, nie chcesz mnie pokochać, wolisz tamtą...” – i położyła pogardliwy nacisk na słowo: ta mta. – „Ja przez ciebie zginę... Och, Eliasie, gdybyś wiedział, jak cierpię! Kochałam cię, od kiedy tylko cię ujrzałam i natychmiast zrozumiałam, że twoje przybycie do mojego domu doprowadzi mnie do zguby! Ale ja cię o nic nie proszę, o nic. Jeśli chcesz stąd odjechać, to jedź, ale pamiętaj o mnie... Uznaj, że nie słyszałeś żadnych wyznań z moich ust i ożeń się z Simoną, lecz kiedy się rozczarujesz, pamiętaj, że jestem bardziej nieszczęśliwa od ciebie”.

Cosema mówiła tak długie godziny, schylona wciąż nade mną, paląc mi twarz swym gorącym oddechem, obmywając me ręce łzami. Nie wiedziałem, gdzie jestem i przygryzałem wargi, powstrzymując płacz i bluźnierstwa, które rodziły się wtedy w moim sercu i przechodziły do ust.

Ogień zgasił i siedzieliśmy w ciemności.

„Żegnaj, do widzenia!” – rzekła Cosema. – „Pójdę już. Jutro wyjedziesz i więcej się nie zobaczymy. Pamiętaj o mnie, Eliasie, pamiętaj. Żegnaj, do widzenia... Jedź sobie, nie chcę nic od ciebie!...”.

Nie chciała nic ode mnie, a jednocześnie pokrywała moją twarz pocałunkami i łzami; łzami, które wydawały się kroplami płynnego ołowiu; długimi, szalonymi pocałunkami, które paliły moje wargi, oczy, policzki, które wreszcie uniemożliwiły mi wyjazd.

„Cosemo!” – odpowiedziałem ochryplym głosem, trzymając jej głowę w dłoniach i oddając pocałunki. – „Kocham cię i zostanę!...”.

– Dwa dni później – dokończył Elias – do domu Cosemy przyszedł ksiądz i udzielił nam sekretne go ślubu. Wciąż miałem gorączkę i działałem jak automat, niemal nic nie widząc.

Tego samego dnia wyszły zapowiedzi, a trzy tygodnie później zostałem w świetle prawa złączony na wieki z Cosemą. Kiedy jednak rozwiąta się pierwsza namiętność, a ja wróciłem do zmysłów i zdałem sobie sprawę z popełnionego zła oraz przekonałem się, że w plotkach o wiarołomstwie Simony nie było cienia prawdy, było już za późno!

IV

– A kto potwierdzi, że cała ta historia nie jest jedną wielką bajką?... – wykrzyknął Tanu przerażającym głosem.

Elias pochylił głowę, a w jego oczach zgasła nadzieja. Z twarzy swych sędziów, niewzruszonych jego słowami, wyczytywał wyrok wydany na siebie i przeżywał nadludzkie męki na myśl o śmierci w kwiecie wieku, lecz nie chciał tego okazać, żeby nie wyjść na tchórza.

– Racja! – stwierdził. – Nikt nie może mnie obronić...

Zwrócił wzrok w stronę Simony, ale oczy młodej kobiety patrzyły daleko ponad nim, jednak cóż z tego? Nawet gdyby chciała, nie mogłaby go ocalić.

– Zginiesz! – orzekł ponuro jej ojciec.

Zapadła długa cisza. Los Eliasa był przesądzony; nie miał prawa opuścić tego przeklętego domu, w którym dziesięć lat wcześniej spędził tyle szczęśliwych nocy. Historia Cosemy nijak nie wpłynęła na okrutne decyzje zhańbionej przez niego rodziny, a karabin błyszczał wciąż w rękach Pietra, dla którego mężczyzna był głównym sprawcą nieszczęść jego siostry.

Zresztą była to sprawa życia i śmierci. Gdyby przebaczyli Eliasowi, zgubiliby samych siebie, gdyż ten na pewno by się zemścił za tę straszliwą noc, jak przystało na właściciela ziemskiego i wielkiego pana, którym teraz był. Zatem musiał umrzeć.

Żaden dreszcz strachu czy wahania nie przebiegł tych serc skamieniałych od szorstkiego i karłowatego życia, dla których religią była zemsta, a Bogiem nienawiść.

Pewnej nocy, dookoła tego oto ogniska, przysięgli na ten nigdy niegasnący ogień, że zmyją krwią doznaną obrazę, a oczekiwana miesiącami i latami godzina wreszcie nadeszła.

I z niemal nabożną zadumą zabierali się do zamordowania człowieka, pewni swoich racji, przekonani, że popełnią błąd, jeśli przebaczą, trwając z podniesionym czołem przed Bogiem, którego przykazania lekceważyli i którego uważali za tak samo okrutnego jak oni...

– Wyjdź! – rozkazał Pietro Simonie.

– Nie, zostanę do końca!... – odpowiedziała młoda kobieta stanowczym głosem, który zaskoczył mocno Eliasa.

Pietro uniósł karabin...

Wiatr, deszcz, grzmot hałasowały niewyobrażalnie; zdawało się, jakby to ludzie krzyčeli, a góry pękały; jakby w wyrazie sprawiedliwego gniewu Bożego za zbrodnię, która dokonywała się w tym ciemnym domu na uboczu, zamieszkałym przez potwory w ludzkiej skórze.

Pietro wycelował w Eliasa, ale kiedy miał już nacisnąć spust, gwałtowne i głośne łupnięcie, którego przyczyną nie mógł być wiatr, uderzyło w zamknięte drzwi wychodzące na dziedziniec. Wszyscy spojrzeli na nie przerażeni, z bladymi wargami i zamartwymi sercami, a strzelba opadła z powrotem na kolana Pietra.

Kto to mógł być? Czyżby zostali odkryci... zgubieni?... Lecz nagle Simona podsko-
czyła i krzyknęła rozpaczliwie:

– Gabina, Gabina!... – po czym rzuciła się w stronę drzwi, w podskokach, drżąc jak
ranna hiena, i otworzyła je...

Rzeczywiście zobaczyła tam dziewczynkę leżącą na ziemi, przemoczoną i nieprzy-
tomną. Gabina widziała i słyszała wszystko, nie potrafiła się powstrzymać, a teraz leżała
zemdlna, przepełniona strachem i grozą...

– Moja córka!... Gabino, Gabineddo⁵... córeczko moja! – mówiła Simona, biorąc
ją w ramiona i kładąc przy kominku. Widząc ją zsiniałą, zimną, przemoczoną, z zamknię-
tymi oczami i twarzą wciąż wykrzywioną ze strachu, Simona uznała ją za zmarłą i – zapo-
minając zupełnie o Eliasie, który pożerał dziecko wzrokiem – zaczęła płakać spazmatycz-
nie, zdejmując z jej zdrętwiałych stópki buty i obsypując ją gwałtownymi pocałunkami.

Ale Gabina nie dawała znaków życia.

– Gabineddo... moja Gabineddo... moja córko... moje serduszek, moje słodkie
serduszek! Ach! Nie żyje... nie żyje... moja kochana córeczka, moja jedyna radość!...
Mój kwiatuśku, Gabino, biedactwo... Co ja pocznę... Boże, mój Boże, co ja teraz
zrobię... Nie żyje... Zobacz, tato, dotknij, nie żyje... Jest zimna... martwa, mój Boże!...

Simona machała rękami i rozpacziała; zdawało się, że postradała zmysły, i to prze-
mawiała, to się śmiała, kiedy jej się zdawało, że Gabina odzyskuje przytomność, po czym
znowu płakała jak obłąkana.

W tym samym czasie Tanu i Pietro patrzyli się na siebie zmieszani i zmartwiali. Dziel-
czynka na pewno widziała i rozumiała wszystko. A więc?... Elias milczał i wpatrywał się
wciąż w matkę, zmartwioną i zrozpaczoną.

– Och, czyżby była martwa? Czyżby naprawdę nie żyła?

Jednak wuj Tottoi, który był bardzo przesądny, roześmiał się gorzko, myśląc,
że to ręka Boża ukarała ich tam, z góry, albo przynajmniej dawała im ostrzeżenie; światło
zalało duszę staruszka i jakaś wielka myśl zajaśniała w jego głowie. Wyjął Gabinę z objęć
Simony i podał ją Tanu, mówiąc:

– Zabierz ją, połóż do łóżka... a ty, Pietro, biegnij po doktora...

– Tato?! – wykrzyknął młodzieniec z szeroko otwartymi oczami, pamiętając o Eliasie,
podczas gdy Tanu posłusznie wyszedł z Gabiną w ramionach, a Simona poszła za nim
z lampą.

– Idź! – odpowiedział starzec. – Idź, powiadam. Nie stanie się tu nic złego!...

Ufając ojcu, Pietro, który ubóstwiał siostrzenicę i także miał ją za zmarłą lub przynaj-
mniej bliską zgonu, odłożył strzelbę i wyszedł... Po chwili wuj Tottoi podszedł do drzwi
i zawołał:

– Simono, Simono! Chodź!

⁵ Formy imion żeńskich zakończone na -edda (jak np. pojawiająca się wyżej *Gabinedda*) bądź -etta (np. *Grazi-
zietta*) są w języku włoskim formami spieszczonymi, zdrobniałymi. Dlatego zgodnie z chęcią zachowania kolorytu
lokalnego zdecydowano się na utrzymanie tych form i niezastępowanie ich hipotetycznymi formami zdrobniałymi
zgodnymi z regułami języka polskiego, jak na przykład *Gabinka* czy *Gabinusia* (przyp. tłum.).

Młoda kobieta przyszła natychmiast.

– Simono – szepnął ojciec uroczystym i tajemniczym głosem. – Gabina widziała wszystko. Jest w tym ręka Boża... Simono...

Kobieta zrozumiała; stała nieruchomo, cicho, z oczami wpatrzonymi w Eliasa, a w jej wielkich, błyszczących od ognia źrenicach można było wyczytać prawdziwą walkę wewnętrzną.

– Jest w tym ręka Boża!... – powtórzył starzec.

Nagle Simona ruszyła w stronę Eliasa i rozcięła więzy, a po uwolnieniu wzięła go za rękę, zaprowadziła na dziedziniec, po czym otworzyła starą bramę i wypchnęła go na zewnątrz, mówiąc:

– Odejdź i pamiętaj o swojej córce!...

I stała tak, dopóki jego kroki nie ucichły w oddali, wśród burzowych grzmotów.

(1892)



Fotografia – Izabela Poniatowska



Fotografia – Izabela Poniatowska